

Sekretariat Światowej Rady Pokoju opublikował ostatecznie listę wybitnych polityków, uczonych i artystów, którym przyznano Międzynarodową Nagrodę Pokoju za rok 1954. Wśród odznaczonych jest również uczonego brazylijskiego, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Organizacji do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, JOSUE DE CASTRO. Ostatnio opublikował on książkę pod znanym tytułem: „Geografia głodu”, która, przetłumaczona na kilka języków (w tym również na język polski), wzbudziła wielkie zainteresowanie na całym świecie.

„Temat ten, — pisze de Castro w swej książce — ze względu na swe polityczne i społeczne powiązania, a zarazem swój ładunek emocjonalny, był do niedawna jednym z tabu naszej cywilizacji; był pięty achillesową, tematem, który publicznie niebezpiecznie było poruszać. Głód, podobnie jak zagadnienia seksualne, był sprawą wstydliwą...”

Korespondencja z „kraju orłów”

Biała willa została...

Signor Verdeti studiował budownictwo w Neapolu. Miał on dwóch dzieci, ale nie miał żony. Przez rok walczył z tuberkulozami w Libii, potem dostał od spółki akcyjnej „Sidera” polecenie wyjazdu do Albani i wyścielenia większych dochodów z tamtejszych pól naftowych. Verdeti nie zastanawiając się długo wsiadł na statek i pojechał do Durres. Stąd do terenów naftowych jest już niedaleko. Nieco w bok od wież wiertniczych firma kazała wybudować małą gustowną willę, taką, aby Verdeti i jego młoda małżonka Gelitta mogli w niej wygodnie mieszkać i prowadzić do pewnego stopnia normalne życie. Było tu pięć pokoi, obszerne łazienki, był też ogródek na płaskim dachu. Bliskość portu stanowiła wielką zaletę — można było bardzo szybko otrzymywać banki z wodą, do picia, która specjalne statki przywoziły z Włoch. „Może później — myślał Verdeti — gdy się już zainstaluję na dobre, każę wykończyć studnię koło domu.”

Uczucia ekonomicznego najeźdźcy

Dzień powszedni signora Verdeti był zawsze taki sam: spacer po terenie i przyglądanie się pracy na wieżach wiertniczych, badanie wyników, a od czasu do czasu pisanie nudnych sprawozdań. Powiedział sobie, że nie zawiedzie zaufania, jakim go firma obdarzyła. Wobec obiecanej podwyżki gaży o dwa tysiące lirów, jako nagrody za należytą eksploatację, opłacało się „dodać gazu” tym „leniwym Albańczykom”.

Verdeti wiedział dobrze, że gdy tylko się odwróci, ludzie zaraz zaczynają wolniej pompuć. Toteż do jego zwykłego porządku dnia należała ostra rozprawa z kilku co najmniej robotnikami. Inaczej przecież nigdy by nie wyciągnął owych dwudziestu procent premii. „Ohydni skąpcy!” — krążył w duchu akcjonariuszów swej firmy. Mogłoby już dawno sprawić parę maszyn... Oczywiście Albańczycy wypadali taniej, to jasne jak na dłoni, ale byli tym niebezpieczniejsi. Bo gdyby tak...

Verdeti wolał nie myśleć o tej ewentualności. Niechętnie zapuszczał się w okolicę, bo tam stały nie tylko wieże wiertnicze, ale również przypięte do ziemi, kryte słomą chaty. Z owych stęchłych nor wydobywał się wrzask dzieci i zaduch, nieczysta woń przekleśnego chleba i pieczonych kasztanów. Nie mógł tego znieść. A jednocześnie Verdeti wiedział, że przez okienka chat spoglądają na niego niezliczone, pełne nienawiści oczy. „Tak, jakbym mógł coś na to poradzić, że oni żyją jak bydło!” — myślał ze złością.

W kilka miesięcy potem, gdy Verdeti wraz z małżonką w gronie przyjaciół „oblewał” zwycięstwo włoskie nad Abisynią, nadszedł dzień, że tereny naftowe ziały pustką. Jak długie i szerokie, nie było tu żywej duszy. Tego dnia Verdeti nie opuszczał swej willi:



Geografia — którą warto poznać

Spółeczeństwa krajów obozu socjalizmu od powiedziały sobie już dawno na to „żenujące” pytanie, a w literaturze ekonomicznej i publicystyce tych narodów wskazywanie na fakty głodu oraz demaskowanie jego

przyczyn nie jest wcale „tabu”. Książka Josue de Castro uczyniła pod tym względem potężny wyłom w mentalności społeczeństw burżuazyjnych i stała jej nieprzeciętne znaczenie.

Fakty wstrząsające sumieniem

A oto niektóre fragmenty książki brazylijskiego biologa:

„Na Nowej Gwinei na każdych 10 dzieci ośmiu umiera, nie osiągnąwszy dojrzałości płciowej. Przeprowadzone ostatecznie badania wykazują, że ta zaskakująca wczesna śmiertelność tłumaczy się faktem, że dzieci rodzą się już upośledzone na skutek wygłodzenia rodziców, a później z powodu niedostatecznego odżywiania, również nie są w stanie normalnie się rozwijać.”

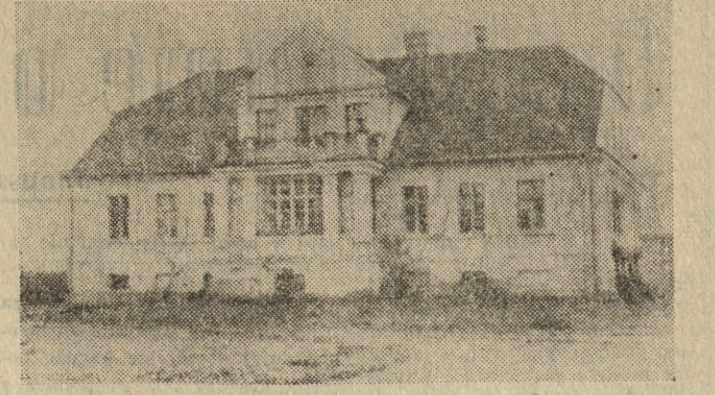
„Myliłby się, kto by sądził, że głód w Ameryce ogranicza się do paru małych okręgów w biedniejszych okolicach. Zarówno w Ameryce Południowej, Środkowej, jak i Południowej, w okęgach kolonizowanych przez rasy łacińskie, jak również w tych, które kolonizowali Anglicy, wegetują olbrzymie masy ludzkie, nękane plagą głodu.”

„Widok krajowca Ameryki Łacińskiej, siedzącego bezczynnie na przyłbie domu i przyglądającego się przysłoniętym oczyma wspaniałemu krajobrazowi — bujnej roślinności tropikalnej, na której ujarzmienie brak mu woli i energii, jest w gruncie rzeczy obrazem głodu. Tak wygląda zamrożony głodem Indianin peruwiański, oszukujący głód paroma liściami kokii, które żuje cały dzień, tak też wygląda mieszkaniec północno-wschodniej Brazylii, schorlały na diecie głodowej: fasoli i mączką maniokową przez cały okragły rok — odżywia się człowiek, zamieszkujący żyzne ziemie na plantacjach trzciny cukrowej...”

W żywnych krajach ludzie...

„Przeciętna konsumpcja mięsa na głowę ludności nie sięga (w Boliwii) 66 funtów rocznie; w Ekwadorze dochodzi zaledwie do 40, w Peru nawet do 30 funtów. Jeśli chodzi o mleko, drugie źródło pełnowartościowego białka — wskaźniki konsumpcji na tym obszarze Ameryki Południowej wykazują również zastraszający niedobór. W brazylijskim dorzeczu Amazonki spożycie mleka prawie nie istnieje, wynosi poniżej 8 kwart na głowę ludności rocznie; w Peru — 11 kwart, w

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 5 VI 1955
Rok VI Numer 22



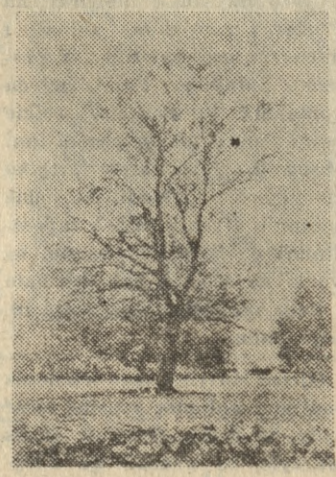
Oficyna i pokój Mickiewicza w Chorym Okno pokoju oznaczone krzyżykiem

Motyw nadziei

Henryk Barański

Upadek powstania listopadowego zastał Adama Mickiewicza w Wielkopolsce. Po nieudanej próbie przedostania się do Królestwa przez Prosznę pod Komornem w powiecie jarocińskim, nie nadarzyła się już nowa sposobność. Znad granicy rosyjskiej przychodziły coraz gorsze wieści. Gdy poeta przebywał w Luboni pod Poniecem w referendarzostwa Morawskich — nadeszła wiadomość o wzięciu Warszawy dnia 7 listopada 1831 roku. Konstancja Morawska w „życiorysie Józefowej Morawskiej z Oporowa” upamiętniła ten moment w Luboni, pisząc:

„Smutne rozmowy toczyły się w cichym domku, ale i te



Dąb Mickiewicza w Smielowie

Nie przyroda — ale ustrój przyczyną

„Ocenia się, że co najmniej 25% obszaru Południowej Ameryki można by użytkować pod takie lub inne uprawy, obecnie jednak użytkowane grunty nie stanowią nawet 5% ogólnej powierzchni.”

„Dwie teorie dotyczące problemu głodu jako zjawiska światowego są, moim zdaniem, prawdziwie niebezpieczne dla przyszłych losów ludzkości, gdyż fałszują rzeczywistość społeczną tego zagadnienia. Jedną z nich usiłuje dowieść, że klęska głodu jest zjawiskiem przyrodzonym, na które nie ma lekarstwa; druga zaś widzi jedyny ratunek w przymusowym wprowadzeniu ograniczenia liczby urodzeń. Te pesymistyczne i demobilizujące teorie należy określić jako wykwit świata znajdującego się w okresie przejściowym, jako rozwiązanie umysłów uformowanych w strukturze kulturowej, która została już obalona. Ich autorzy nie chcą uznać rewolucji społecznej za fakt dokonany i głoszą swoje przestarzałe idee, które są już tylko przeżytkami i majakami.”

„Według danych Roberta Saltera i Homera Schantza, fałchowców z Departamentu Rolnictwa USA, tylko 25 000 000 mil kwadratowych może być przy obecnych metodach użytkowania gleby eksploatowanych dla celów rolnictwa. Nawet więc te ostrożne obliczenia dają ludzkości 16 miliardów akrów do uprawy; jak dotąd jednak, uprawiana powierzchnia nie sięga jeszcze 2 miliardów akrów, czyli jednej ósmej ogólnego arealu naszej planety, nadającego się do uprawy. Jasne więc, że głód i klęska głodowa nie są wynikiem żadnego prawa przyrody.”

Josue de Castro nie jest bynajmniej komunistą. Tym bardziej więc książka jego stanowi wymowne oskarżenie systemu kapitalistycznego, którego produktem jest zawsze wyzysk, głód i wojna.

dził się pomysł „Dziadów” drezdeńskich i wkrótce potem koncepcja „Pana Tadeusza”. Mickiewicz „rzemiennym dyszlem” objeżdża tutejsze dwory, które poczytywały sobie za zaszczyt goszczenie głośniego już wówczas poety.

„Wprawdzie poeta — jak czytamy u innego biografy, Zakrzewskiego — przeżywał wtedy głębokie wstrząsy psychiczne, depresje moralne, jednak życie wielkopolskiej arystokracji i szlachty, wśród której się obracał, przeplatane westchnieniami i łzami patriotycznymi oraz hucznymi polowaniami, zjazdami rodzinnymi i chrztami pochłony go tak dalece, że w kilka miesięcy później, pisząc z Drezna do księżnej Wolskiej w Petersburgu powie: „Po przeżyciach strasznych przeszłego roku, po życiu zwierzęcym, albo raczej roślinnym w lasach poznańskich, zaczynam czuć, myśleć i żyć.”

Wciągnęło Mickiewicza w to życie roślinne nie tylko piękno wsi wielkopolskiej, lecz również urok pici pięknej. W Smielowie poznał Mickiewicz siostrę właścicielki majątku Gorzeńskiej, Konstancję z Bojanowskich Lubieńską. Jak już pisałyśmy romans z piękną kochanką, matką zresztą wówczas pięciorga dzieci, przerodził się następnie w przyjaźń, która trwała dogonnie. Romans ten sprawił obojgu wiele utrapień, wywołał zgorszenie u sąsiadów i omal nie doprowadził do pojedyńku Lubieńskiego z Mickiewiczem. Biografom zaś przysporzył wiele kłopotu, bo pani Konstancja przezornie zniszczyła listy swoje do Mickiewicza, zachowując jedynie późniejsze listy poety z okresu przyjaźni. Pani Konstancja nie tylko uroda podbiła serce poety. Według świadectwa współczesnych, posiadając łatwość rymowania i rysunków, kreśliła zresztą karykatury, tworzyła bardzo sprytnie bajeczki i małe satyryczne wiersze. Nie więc dziwnego, że kobieta, mająca aspiracje literackie,



Pokój Mickiewicza w Smielowie

chciała usidlić znanego i uwielbianego poeę. Mickiewicz był w uczuciach swoich do niej raczej powściągliwy, a gdy ucieka od męża i ruszyła za nim do Drezna, zamknął się w swym pokoju i natęczył kochanki nie przyjął.

Gdy miłość ostygła, ujawnił się dobroczynny wpływ Mickiewicza na działalność społeczną pani Konstancji. W Marcinie pod Poznaniem urządziła przytułek dla sierot, przesyłała ze składek zebranych wśród Wielkopolan znaczne sumy dla biednych emigrantów w Paryżu i w 1848 roku pragnęła założyć osadę dla emigrantów i zasięgała w tej sprawie porady Mickiewicza. Na dwa lata przed śmiercią ogłosiła „Upominek moim współziomkom na zbliżający się rok 1854”. W pracy tej występuje jako bojowa



Budowa nowoczesnej rafinerii ropy naftowej w Albani. Fot. — CAF

K. B.

(Ciąg dalszy na str. 3)

Opowiadanie o głodnym sercu

Janusz Biniek

Pan dziedzic lubił popić, a jak popił miewał rozmaite fanaberie. Bywało, że kazał ekonomowi zwołać wieczorem co dorodniejsze dziewczuchy i chłopaków w tańczeniu obrotnych, krzycząc o pochodnie, muzykantom grać rozkazywał, a sam się dał boki na wozie i patrzył jak młodzi tańczą. Czasem uderzał w dłoń, pokrzykiwał, podszczypnął ładną dziewczynę, czasem i piwo postawił. Marcin pamięta, miał wtedy już trzynaście lat. Opowiadał mi o tym młodym czerwcowym wieczorem, przed progiem domu. W taki czas studnia, uchylona brama od stodoły, sad, wszystkie drzewa i przedmioty miękkie, szarzej, zdają się odrywać od miejsc, w których tkwią bez ruchu i płynąć w ciepłym powietrzu. W wielkiej ciszy



zstępującej na ziemię, świat załudnia się kształtami, które raptem tracą swój zwykły wymiar. Pochylona głowa i plecy starego Marcina wtopione w mrok, nie znaczą więcej, niż grusze przy płocie. Stary milknie często; wtedy jego papieros szerzej otwiera czerwone oko, rzucając nikły blask na twarz ciemną i suchą o potężnym nosie. O czym myśli w takich chwilach? Ja — o niczym; po prostu chłone ten wieczór i nawet nie szukam w nim podobieństwa do chwili, które były. Wiem, że zapomnę, że ten cichy pejzaż zagubi się w natłoku przyszłych wrażeń, tak jak teraz wsiąka w ciszę i zmierzchanie. Pozwalam się unosić, nie próbując zmierzyć niczego ani zatrzymać.

...Ojciec Marcina grał, można mówić, pierwsze skrzypce tyle, że na dudach, jako że one w orkiestrze były najważniejsze. Sygnął z tego na całą okolicę. Nie było wesela we wsi bez niego i jego orkiestry, jeździł nawet do sąsiednich powiatów. Marcin nie udawał się w tańcach. Nogi miał jakieś pokręcone, wyśmiewały go dziewczuchy, że z takimi kulasami to najwyższy organista zostanie, bo strasznie nie do rytmu nimi porusza. Siadał więc z wiejskimi pod szopą na folwarcznym podwórku, a jeżeli ojciec brał go cichcem na wesele — to w kacie koło komody i patrzył i słuchał. Organistą wprawdzie nie został, ale do muzyki ciągnęło go od małości. Ojciec jednak instrumentu dotknąć nie kazał. Czasem tylko, w drodze wielkiej łaski, Marcin odnosił dudy do domu, ostrożnie stąpając na swych niezgrabnych nogach i oglądając się co chwila na ojca. Fujała z otworami, miechy, głowa kozła wystrugała przemiennie z lipowego drzewa, otwór z którego wydobywał się basowy pomruk — wszystko to było dla małego Marcina czymś tajemniczym, jak czarodziejska skrzynia ukryta przez złego w moczarach, o której wieczorami opowiadała babcia Werka. Kto znał zaklęcie, skrzynia otwierała się i po wyrzuceniu słów „stoliczku nakryj się!” z malowanego wnętrza wydobywało się jadio wysmienite, obfite a delikatne, takie, jakie tylko na pańskich stołach podają. Marcinowi te opowieści spać nie dawały w nocy. Stoliczek nie chciał się nakryć, malowane smoki wylaziły ze skrzyni i marszczyły szyderczo potworne paszcze. Chłopak budził się spocony, słuchał chrapania ojca i długo patrzył na ciemny kształt wiszącego na ścianie instrumentu. Ojca Marcin podziwiał bez miary. Na jego to rozkaz instrument gadał rozmaitym głosem, jak chciałeś. Ojciec nadywał policzki, przebiegał prądko palcami — i oto na czarodziejskim stoliczku pojawiały się melodie, jedna piękniejsza od drugiej, a każda inna. Żadna jednak nie była tak piękna jak ta, którą sły-

szął w nocy, kiedy omal nie zamrzł w rowie przydrożnym.

A było to tak: Orkiestra miała grać na weselu dwie wioski dalej. Żenił się bardzo bogaty, starszy już gospodarz z dziewczyną młodą i urodziwą. Pojechali na to wesele tylko we trójkę, bo Wacek co do nich przystał ze skrzypcami, za nie na świecie jechać z nimi tam nie chciał i nawet odgrażał się, że prędzej staremu gnaty polamię niż jej do weselnego zagra. Wiedzieli wszyscy we wsi, że kochał się w pięknej oblubienicy, ale jej ojciec, znany chciwus, wolał oddać swą młodziankę bogatemu. Pojechali więc bez niego. Tymczasem gdzieś w środku nocy drzwi do izby otwierają się i wchodzi Wacek ze skrzypcami, a za nim mocno mu się kurzyło. Roztrąca tańczące pary, krzyczy na grających by umilkli i wśród zapadłej z nagle ciszy oświadcza, że chce młodej panie zagrać na skrzypkach wesolą piosenkę, „żeby radośniej jej było w nocce poślubną ze starym gnatem w pościeli“. Gdy to usłyszał oblubieniec, na družbę i swojaków skinął i niefortunnego zalotnika wyproszono kulakami. Panna młoda popłakała się w kacie, goście jedni śmiali się w garść, inni basowali gospodarzowi, tylko muzykanci spoglądali na siebie posępnie. Rychło jednak zapomniano o tym wydarzeniu, bo wódki na stołach było niemało i stała zagrycha oraz wiele innego jadła.

Ojciec Marcina tego wtenczas popijał i chłopiec musiał nieść dudy do domu. Tak się jakoś zdarzyło, że wrócili we dwójkę, reszta gdzieś się zapodziała a i podwieść nie było czym, bo parobek gospodarza upił się na równi ze wszystkimi. Ruszyli zatem pieszo: przodem Marcin, pół kroku za nim stary, podśpiewując. Przy wyjściu ze wsi spotkali Wacka. Marcin nie bardzo wtedy rozumiał, skąd mu się brała ta zawziętość przeciw gospodarzowi, pamięta jednak, że z ojcem długo wygrażali pięściami w ciemności i na przemian obejmowali się czule. Na koniec popłakali się, siedli na zwalonym pniu przy drodze i ojciec Marcina kazał podać instrument. Chłopakowi droga dłuższa się strasznie, nos mu zsiniał z zimna a uszy były całkiem do niczego. „Ojciec, pódźwa do domu“ — bąknął. „Cicho, ksyku, Sabei weselnego zagramy!“ — wybełkotał stary. „Tak, smutek zagram, a później grubasa do jajowy wrzucimy“ — zawołał Wacek, który jakimś cudem nie zgubił swoich skrzypiec. Nie było rady, Marcin usiadł na pniu i słuchał. A tamci zaczęli grać.

Otoczała ich niezmiernie cicha. Muzyka płynęła łagodnie po białych polach, dziwna i smutna. Raz zaczynał Wacek, po chwili ojciec powtarzał smętny motyw i ciągnął go i rozwijał, aż zdziwiony skrzypek opuszczał smyk i z otwartymi ustami śledził dokąd biegnie melodia. Potem struny jego skrzypiec podbiegały ku niej, chwytając między piskliwe tony i unosząc dalek, Marcin słuchał i słuchał, i czy to sprawiła noc, cisza i biała droga, czy też muzyka była jakaś zaczarowana — dość, że granie wydało się mu tak cudne jak nigdy. Wreszcie popłakał się cichutko — i z muzyki i z zimna. Mróz nie był srogi, ale w końcu grającym palce zeszytniały i wy-

padły z rak instrumenty, bardzo zaś mieli w czubie i nie chcieli ruszyć się z miejsca. Marcin popychał ich jak mógł. Dopiął tylko tego, że dudy skatowały się do rowu i głucho wyróżnęły o kamień.

Ktoś, kto wracał tą drogą z wesela załadował ich na bryczkę i odwiózł do domu. Stary na krześle wytrzeźwiał nieco, ruszył oglądać instrument, a gdy zobaczył szkodę, sprzął Marcina za to, że źle niósł dudy. Dwa dni później gruchnęła po wsi wiadomość, że Wacka zabrali w ładarni. Szczęśliwego rywała wrzucił rzeczywiście do dołu po gnojówce.

Jeszcze jedno wydarzenie z tamtych lat wyrzyło się silnie w pamięci Marcina.

Kiedy chodził nad rzekę, niedługo raz widywał dzieci pana dziedzica, spacerujące po dworskim parku. Dwoje ich było: córka Regina — o dobre pięć lat starsza od Marcina, a więc dorosła panna i synalek, w jego mniej więcej wieku. O edukację obojga dbał guwerner, młody jeszcze, wysoki jak tyka i bardzo smutny na twarzy. Marcin, w letnie wieczory, kiedy milkły gamy wystukiwane przez jasne panienkę, słyszał często dźwięki fortepianu wydobywające się z otwartych okien pałacu. Udało się zawsze znajomość; guwerner miał być tym człowiekiem, który pierwszy wprowadził chłopca w zaczerpnięty świat ukryty między drewnianym smykem i czterema strunami skrzypiec.

Marcin właściwie nie lubił go. Czuł nieokreśloną obawę przed spojrzeniem pełnym melancholii, w którym migotały dziwne ogniki. „Ma złe oczy“ — mawiała babcia Werka. — Tak, to nigdy nie wiadać, co może zrobić. Spotykali się — jeżeli guwerner miał wolny wieczór — w jego małym pokoiku na piętunku, w domku, w którym mieszkał również rządca i ogrodnik. Na ścianach wisiały malowane kwiaty w ramach z brzozy, a pod oknem stał stary trzcinowy fotel na biegunach. Guwerner wyciągał długie nogi, kazał Marcinowi wyjąć skrzypce z drewnianej trumienki i grać, sam zaś błądził wzrokiem po parku i oknach pałacu. Czasem zagwizdał jakąś melodię, czasem układał Marcinowi niewprawne palce na gryfie. Zresztą zanim zdążyły się one jako tako ułożyć, opuścił pewnego dnia pokój na piętunku i znikł. Mówiono, że



Rys. L. Kapczyński (2)

dziedzic go wypędził. Przez dłuższy czas ogrodnik szeptał coś swoim znajomkom do ucha, a panna Regina nie wychodziła na spacer do parku.

Od tego miejsca w opowiadaniu Marcina o muzyce słyszałem niewiele. Spaniętałem to jeszcze, że ojciec, gdy usłyszał Marcina grającego na skrzypkach nie zdziwił się wcale i zaraz zaczął przekazywać mu swoje umiejętności. Wkrótce zmarł — z czego? Nie wiadomo. Jedni mówili, że żołdak przepalił, inni — że z kary boskiej, kto by tam dociekał, a i po co? Umarł, popłakali ile trzeba, pogrzebali.

...Mrok wypełnił całą przestrzeń, świat przestał zmieniać się i zastygł powoli w noc. To, co pół godziny temu miało ja-

ki kształt, teraz stało się tylko zapachem i szmerem. Jedyne ognienie Marcinowego papierosa stoi poza władaniem nocy. Wygląda jak pożar oglądany z bardzo daleka.

Chciałbym znaleźć nazwę dla barwy głosu, jakim Marcin zaczyna mówić o synu. Ojcowską dumę draży żal, radość starego człowieka zaprawiona jest gorzkim smakiem rzeczy niespełnionych, których młodość nie zrozumie nigdy i nigdy się nad nimi nie pochyli. Tak mówią ludzie, którzy wiedzą, że ich ręce zawisną w powietrzu, że nikt nie odbierze od nich trudnego skarbu, by nieść go dalej w pokolenia.

Józek ma dziś tyle lat ile Marcin miał wtedy, kiedy nosił dudy za ojcem z wesela. Umilowanie muzyki tkwi w nim z tą samą mocą, głęboką i prawdziwą. Od dwóch lat mieszka u ciotki w Poznaniu. Nauczyciel we wsi długo rozmawiał z Marcinem. Przekonał go, że syna trzeba przenieść do podstawowej szkoły muzycznej, gdzie oprócz innych rzeczy uczą profesorowie muzyki. Stary zgodził się. Syn, gdy przyjedzie do domu, rozkłada nuty, pociera smyczek o kalafonię, podkręca struny. Gry słucha ojciec z przymkniętymi oczami, a po skończeniu kiwa głową z aprobatą. Kiedy Józek proponuje ojcu by spróbował, Marcin uśmiecha się i potrząsa głową: „gdzieś ci tam, moje paluchy za sztywne...“ Zagra, gdy syna nie ma w domu. Nawet dudy zdejmują coraz rzadziej ze ścian. Józek na ojcowy instrument patrzy obojętnie. „Tego u nas nie uczą, o nutach na dudy jeszcze nie słyszałem“. Czasem jednak weźmie, założy, nadmie policzki, Marcinowi serce skacze — potakuje, krzyczy się, poprawia; oczy mu błyszczy. Syn podmucha pięć minut i odkłada dudy, znużony. Stary Marcin czyści piszczałkę aksamitną szmatką i wieszka je starannie. Syn, kto wie, może i będzie wielkim muzykiem, profesor mówi, że ma talent, nie dziwnego, że dudy mu nie w smak. Inne czasy, inna muzyka.

Ogarek papierosa spada jak gwiazda o czerwonym blasku i przez chwilę tli się wśród kamyczków żwiru. Czuje nagłe dmuchnięcie chłodu, jakby spadający ogień zbudził zimny oddech nocy. Wiem na co Marcin czeka. Wszystko to, co od niego usłyszałem, było pytaniem, na które trzeba dać odpowiedź. Domyślam się jego oczu — są utkwione we mnie.

I oto przypomina mi się wieczór w świetlicy w sąsiedniej gromadzie, sprzed dwu dni, gdzie również występował Marcin. Świetlica nie była jeszcze ukończona, nowa szafa i stół ping-pongowy stały w kacie. Szafa wgniatła się w plecy, ludzi się zeszło co niemiarą, było gorąco i duszno od dymu. Referent od kultury powiatowej rady szeptał mi do ucha nazwy miejscowości w jakich zespół i Marcin występował, rzucał cyframi. Nie byłem pilnym słuchaczem; uwagę moją pochłonął jeden z gości, prawdopodobnie chłopak z tej samej wioski. Z tyłu widziałem tylko jasną czuprynę. Gdy się odwróciłem zauważyłem, że ma ciemne połyskliwe oczy i bardzo delikatne, dziewczęce usta. Marcin skończył grać; przeprosił referenta od kultury i przebiegał się do przodu. Oczy chłopca w dalszym ciągu pochłaniały instrument, głodne i ciekawe. Początkowo odpowiadał monosylabami, potem, kiedy oderwał oczy od podłogi, przyznał się, że chciałby bardzo, tak jak Marcin...

Marcin nie przerywał mi. Najpierw mówiłem o nauce Józka, o tym co będzie robił po skończeniu szkoły, o jego przyszłych latach, gdy zostanie muzykiem. Potem opowiedziałem o wieczorze w świetlicy i nieznanym chłopcu.



Fot. K. Przychodzki

Laureaci piękności

Te dwa piękne psy brały kilka dni temu udział w „konkursie piękności“. Trzeba przyznać, że wspinały się na drzewa, wchodziły do wody, zachwyciły — nie tylko jurorów. Swoją drogą lepiej chyba nie zawierać bliższej znajomości z takim okazem psiej urody. Laureaci tego rodzaju czasem gryzą, ale częściej kończą się na poszczekiwaniami...

Fot. H. Ignor

O bohaterze narodowym

Jarosław Iwaszkiewicz

Po długich i ciężkich cierpieniach i walkach stałem się wreszcie właścicielem „Trylogii“ Sienkiewicza. Od lat rozbijałem się o to dzieło. W bibliotece mojej mam całą półkę dzieł Strindberga, mam Przybyszewskiego po duńsku, dzieła kompletne Wordswortha, nawet słownik angielsko-szwajcarski — nie mogłem się „dochować“ Sienkiewicza. Dzieła wszystkie, niedawno wydane, ukazywały się na wydruku, ukazywały się powojenne wydanie „Trylogii“ znikało jak kamfora, zanim ustawiłem je na półce. Przedzieł wreszcie udało się upilnować — że użyję wyrażenia pana Zagłoby — Sienkiewicza w bibliotece, a poszczególne zielone tomiki, jakby z rękawicy edycji (dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego“) rozlały się w jedną jak mrowina... Wreszcie dzielna dyrekcja PIW-u zdecydowała, że zasługuję na posiadanie tych powieści i ofiarowała mi je bezpłatnie. Schowałem je teraz pod klucz i mam, cieszę się posiadaniem tego niezwykłego utworu naszej literatury powieściowej.

Nie tylko mam, ale i czytam. I mam okazję do zastanawiania się nad tym, co czyni „Trylogię“ tak popularną, tak żywą, tak nieodpartą.

Przed dawnymi laty, podczas okupacji miałem takie zdarzenie. Sasiad mój, człowiek prosty, wyjeżdżał z żoną do rodziny, a troje drobnych dzieci zostawił pod opieką brata, młodego chłopca, niedawno ze wsi przybyłego. Była surowa zima. Sasiad zaszedł do mnie i poprosił: „Niech pan zajdzie, rzuci okiem na dom, jak mnie nie będzie. Zostawiam dzieci pod opieką Kazia, a on taki głupi... Wszystko ma przygotowane, ma tylko zapalić pod piecem, przygrzać i nakarmić bratanków. Niech pan zajrzy“. — „No, jak ma wszystko przygotowane to chyba nie trudno dopilnować — powiedziałem — ale jeżeli pan chce koniecznie, to do brzozy zajrzy!“ I sasiad pojechał. Nazajutrz około trzeciej po południu przypomniałem sobie o moim przyrzeczeniu. Zachodząc do sąsiada, chłód jak w psiarni, ognia nie ma, a dzieci siedzą w kacie smutne i niemrawe. Kazio porwał się na moje wejście do stołu, przy którym czytał jakąś książkę. „Kazio — mówię — dlaczego tak tak zimno? Nie napaliłeś w piecu. A dzieci nakarmieś?“ — „Nie!“ — odpowiada Kazio i pokrywa się purpurowym rumieńcem. — „Co? Jak? Dlaczego?“ — „Proszę pana — mówi Kazio zdławionym ze wzruszenia głosem — przecież Azja porwał dzisiaj Basię!“

Cóż za magik ten Sienkiewicz! Jak potrafi, wniósł, że opowiada o żywych, prawdziwych, dotykających ludziach. Jak on wiedział, czym przemówić do polskiego czytelnika, jak go zająć i wzruszyć. Jak on znał tych Polaków! Niestety, na tej tajemnicy Sienkiewicza polega popularność jego bohatera, widzą najbardziej gustom polskim odpowiadającego — Kmicic. Już sama kariera, jak pod auspicjami Sienkiewicza zrobiło imię tego bohatera, zapelniając nasze słysy ludnościowe nieprzebraną ilością Andrzejów.

Chodzi o to, by z wypadku w Wielopolu wyciągnięte zostały wszystkie wnioski, uniemożliwiające na przyszłość powtórzenie się podobnych wypadków. Jest to program minimalistyczny. Nie chodzi tu tylko o zarządzenia przeciwpożarowe — ale o coś znacznie więcej, o zarządzenia wychowawcze, o zrozumienie, gdzie jest ukryte, jak głęboko ono leży w charakterze naszego narodu, którego bohaterem jest Kmicic. Odszkodzyliśmy daleko od „Trylogii“ w naszym rozumowaniu. I może nawet za daleko. Nie chciałbym szkodzić Sienkiewiczowi, którego uwielbiam jako pisarza. Ale bardzo bym chciał zaszkodzić naszej lekkomyślności, której mnóstwo dowodów przetoż niedawno w swoim felietonie na łamach „Życia Warszawy“ Jasenica, Chciałbym, aby Polacy stali się poważnym, solidnym, zrównoważonym narodem. A wtedy może sobie wybiorą innego bohatera narodowego, Sienkiewicz ma wzorów pod dostatkiem.

Za „Życiem Warszawy“

Motyw Nadziei

(Dokończenie ze str. 1)

demokratka. Piętnuje błędy społeczne ziemian, woła o kredyty dla włościan, radzi zbliżyć się do robotników i rzemieślników, żąda zakładania spółdzielni po miastach, woła o pomoc lekarską dla ludu, domaga się wyzwolenia kobiety, tak jak to jej mistrz ogłosił w „Składzie zasad”.

Z korespondencji Mickiewicza z Łubieńską powstała cenna uwaga poety, o sposobie twórczości. List ten pochodzi z końca 1851 roku. Ganiąc jej styl, jako ciężki, niemiecki, Mickiewicz pisze: „Dobry styl i po prostu dobra, właściwa nowa jest ta, która najbardziej zbliża się do mowy, do rozmowy, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególnie, kiedy się rozprawia o rzeczach powożnych, wyższych, powinny prostota i szczerością uchodzić w tok rozmowy prostodusznie, prostoserdusznie”.

Kontakty Mickiewicza z Łubieńską trwały aż do jego wyjazdu do Turcji. Stają się coraz bardziej uduchowione i „odcielesnione”. Trudno dziś powiedzieć, co zatrzymało na dłużej Mickiewicza w Śmiełowie, czy niezwykła gościnność Gorzeńskich, czy „brzydka kokietka”, jak nazywał panią Konstancję Stefan Garczyński w liście do Mickiewicza. Raczej ten romans. Mickiewicz miał wówczas 33 lata, ona 29.

Po Mickiewiczu w Śmiełowie pozostała pamiątka: dąb. Przechodząc parkiem po burzy z Gorzeńską dostrzegł poeta siłą wiatru wyrwany młody dąbek. „Oto nasz obraz — rzekł poeta — ale tak w wielkim jak i w małym nie tracimy nadziei, ratujemy, co się da”. Mówiąc to wsadził drzewko do ziemi, które otrzymało później nazwę „dębu Mickiewicza”. W czasie pierwszej wojny światowej gwałtowna burza dąb ten złamała.

Ostatni list poety z Wielkopolski nosi datę 26 lutego 1832 roku. Pisany był zapewne w Choryni, gdzie bawił w ciągu stycznia i lutego tego roku, robiąc częste wycieczki w sąsiedztwo i do Poznania. W Poznaniu, jak wiemy, Mickiewicz zatrzymywał się w „Hotelu Berlińskim”, przy dawnej Wilhelmstr. nr 165, a obecnej alei Marcinkowskiego pod nazwiskiem Adama Mühla lub Justyna Pohla. Dom ten obecnie nie istnieje. (Pisaliśmy o tym trzy tygodnie temu.)

Nie znamy dotychczas daty wyjazdu poety z Wielkopolski, ani drogi, jaką przebył, jadąc do Dreżnia. W każdym razie 20 marca 1832 roku był już w Dreżniu. Znalazł tu wielu rozbitków powstania. Przebywali już w Dreżniu dawni przyjaciele jak Odyniec, Garczyński, Domejko i Wincenty Pol. Później zjechał do Dreżnia J. U.



Pewien szwajcarski właściciel baru mlecznego denerwował się, że klientela jego domaga się stale napojów alkoholowych. Z tej wzię przyczyną wyznaczył starsze kelnerki dla obsługi gości domagających się alkoholu, a młodsze przydzielili wyłącznie do podawania mleka. Obrót napojami mlecznymi wzrósł w rezultacie dwukrotnie.

W szkockim miasteczku Invergary spłonęła biblioteka miejska z całym księgozbiorem. Liczącym przeszło osiem tysięcy tomów. Uratowano tylko jedną książkę, noszącą tytuł: „Praktyczne zastosowanie energii cieplnej”.

Panie Lennoc i Bogart nie zajęły miejsca w samolocie odchodzącym z lotniska paryskiego do Nowego Jorku i zwróciły w ostatniej chwili bilety. Przekonały je bowiem przyjaciele, że samoloty latają obecnie z szybkością większą od głosu. Obie niedoszłe pasażerki tłumaczyły się, że przez całe osiem godzin lotu nie będą mogły z sobą rozmawiać, ponieważ język ich nie nadąży za szybkością samolotu.

Niemcewicz. Poeta poznał tu Klementynę Potocką, siostrę Tytusa Działyńskiego, założyciela Biblioteki Kórnickiej. W Dreżniu Mickiewicz zaczął gorączkowo tworzyć. Powstała tu III część „Dziadów” i takie utwory jak: „Śmierć Pułkownika”, „Nocleg”, „Pieśń Żołnierza”, które powstały pod wpływem opowiadań uczestników powstania.

Z przyjaciółmi swymi z Poznańskiego utrzymywał Mickiewicz nadal kontakt. Ostatni list pisany do Łukowa, do Józefa Grabowskiego, nosi datę września 1855 roku, a więc na dwa miesiące przed śmiercią Wieszcza. Nie dziwnego, że pierwszy kult Mickiewicza narodził się w Wielkopolsce i ziemia wielkopolska była pierwszą, która wzniosła mu w kraju pomnik, w dwa lata po zgonie uwielbianego przez społeczeństwo poznańskie Wieszcza.



Dzieło... trzech kompozytorów

Należy przypuszczać, że chyba każdy z nas przyglądał się w lustrze własnemu językowi i prawdopodobnie myślał o tym, że jest on nie tylko organem mowy, lecz i smaku. Mniemanie to nie jest błędne, ale przypomnijcie sobie wasz ostatni katar, kiedy to za pchany nos zatracił zupełnie powonienie. Najsmakowitsze zwykle potrawy lykało się wtedy bez uczucia zadowolenia, jadło się tak jakoś „mdło”. Inny przykład. Przyjmijmy, że fabryki marmolady zaprzestałyby nagle farbować swe produkty; można zapewnić amatorów smacznych konfitur, że nie ruszyliby tej niefarbowanej, a przecież słodkiej masy. Nieświadomi „spożyli” ją oczami i od razu stali się ostrożni, by nie narazić swego smaku na „szwank”. Już na tych dwóch przykładach upewniamy się, że nie sam język umi żłwika nam wyczuć smaku, ale powonienie i, o dziwo, węch potrawy. Nie sądzicie jednak, że język odgrywa jakąś drugorzędną rolę w tym wszy-

stkim. Nie, nie, język dzięki swej elastyczności jest nie tylko organem mowy, ale i narzędem, które pozwala łykać strawę i jednocześnie „przekazuje” jej aromat w górę, do nosa. Po prostu zgodne współdziałanie smaku z zapachem. Na ostatek rzecz bardzo ważna: język uzbrojony jest w swego rodzaju czujki smaku. Weźcie raz jeszcze lusterko...

Wprawdzie mikroskop wykazałby (zdjęcie 2) najwyraźniej chropowatość powierzchni języka: ileż tam podobnych



do krateru wulkanicznego porowatości, nierówności, tych punktów, które kryją koniuszki nerwów. One właśnie przekazują do centrali mózgu różnorodne odczucia smaków. Każdy taki „nerwopunkt” wyspecjalizowany jest na pewien smak. Słodzyc wyczuwa partia języka oznaczona 1, gorycz znowu 2, na kwasy reaguje część oznaczona 3, natomiast na słoność reaguje cała powierzchnia. Kiedyś był bracie jeszcze niemowlęciem, wówczas koncentrowały się czujki na czubku języka, wargach i dziąsłach, gdyż te części były tylko zaangażowane w ssanie.

A oto ciekawa próba smaku, która przekonała dziewczynę (zdjęcie 1), że cebula jest słodka. Tak, ale pod warunkiem, że oczy dokładnie przysłonięte i noszek ściśle zamknięty. Nerwy smaku wyprowadzają w takim wypadku posłuszeństwo i nie są w stanie przekazać centrali — mózgowi depeszy: cebula. Cieszyłeś się bracie na karpia w winnym sosie, a tu ci raptem ktoś mrucni: nieświeży (choć sam byłbyś świeżym, jak przed godziną zabito dopiero co złowioną rybę). Ale „nieświeży” starczy, żeby potrawę odstawić. Pyszna pieczeń barana ma za chwilę zginać w czełusciach żołądka, gdy ktoś stwierdza od niechętności: zupełnie smaczny ten duszony w śmietanie kotlet... i już jesteś syty, już masz dość. Tak, tak, oto wmawianie i jego skutki.

Przysłoniłmy całkiem oczy (fot. 3) i, proszę, do stołu podano pyszne, smażone ziemniaki („frytki” — od pommes de fruits), lecz zabarwione bezwoną substancją na fioletowo. Czego oczy nie widzą, tego język nie wyczuje — można by straszyć przyskocznie. A ziemniaki? Pycha, chrupkie, wspaniałe...

...aż do chwili, kiedy opaska, jak łuska spadnie z oczu (fot. 4). Brr, jakie to nie smaczne, różowe — fioletowe (oczy kablują do mózgu; uważaj! a mózg z powrotem na język). Od razu też przepało to „pyszne”, „chrupkie”, „wspaniałe”. Smak jest właściwie dziełem trzech kompozytorów: języka oka i nosa.

(now)



Karol Pastuszewski

Pierścieniopląty — latające sprzęty trzy razy prędsze od dźwięku

Pojęcie maszyny latającej kojarzymy zazwyczaj ze skrzydłami. I jeśli mówimy o latających aparatach, cięższych od powietrza, natychmiast myślimy o płaszczyznach nośnych.

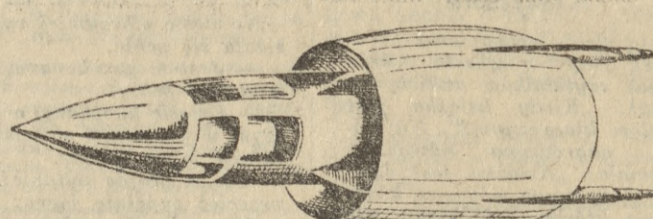
To jasne, że nie może być mowy o uniesieniu się w powietrze bez wytworzenia siły nośnej, która musi co najmniej równoważyć lub przewyższać ciężar aparatu latającego. W normalnym samolocie taką siłę nośną wytwarzają skrzydła podczas lotu. Siłę tę wytwarza również wirnik śmigłowca, zresztą na identycznej zasadzie: — na zasadzie ruchu specjalnie ukształtowanych (posiadających specjalny profil) płaszczyzn nośnych względem powietrza.

Ostatnio można było spotkać w prasie popularnonaukowej, a nawet i codziennej wzmianki o eksperymentach dokonywanych z „latającym żółkiem”, „latającym stołkiem” i całym szeregiem innych „latających sprzętów”. Te eksperymentalne aparaty latające pozbawione były płaszczyzn nośnych. Siłę nośną wytwarzano tam, stosując potężne silniki turbino-odrutowe, których dysze wylotowe skierowane były pionowo w dół. Siła odrzutu ga-

my dość dobrze aerodynamikę wielkich prędkości — zastosowanie powierzchni nośnej w kształcie pierścienia przestało być problemem.

Projekt samolotu, wyposażonego w „skrzydło pierścieniowe”, a nazwanego przez konstruktorów „coleopter”, został opatentowany przez Francuski Urząd Patentowy.

Coleopter jeszcze nie lata. Natomiast latał już — i to przeszło dwa lata temu — model pierścieniopląta. Wy-



zów spalinywych tych silników równoważy ciężar aparatu, powodując — zależnie od swej nadwyżki — mniejszą lub większą prędkość wznoszenia. Regulując siłę odrzutu, można powodować wznoszenie, „stanie w miejscu” i stopniowe, powolne opadanie w celu wylądowania. Wzlot „latającego żółka” odbywa się z jednego punktu, bez rozbiegu. Również lądowanie teoretycznie nie wymaga więcej przestrzeni aniżeli wynoszą wymiary aparatu, stojącego na ziemi, a praktycznie — wystarczy większe podwórko.

Wśród badaczy aerodynamiki niewiele interesowało się problemem zastosowania pierścienia do wytwarzania siły nośnej. Sprawa nie była prosta, jakkolwiek pociągła atrakcyjnością. Zwrócił na to uwagę radziecki uczonec, prof. Czaplugin (z lat dwudziestych naszego wieku), który w drodze obliczeń dowiódł, że odpowiednio ukształtowany pierścień (powierzchnia nośna utworzona ze zwiniętego w pierścień skrzydła) może być zastosowany jako element do wytwarzania siły nośnej.

Jednak zastosowanie w praktyce takiego rozwiązania nastrojało poważne trudności. Skrzydło pierścieniowe, choć znacznie lżejsze (gdyż nie wymagało ciężkich i mocnych belek dźwigarów) i choć pierścieniolatki kształt zapewniał mu wielką sztywność, to jednak przy małych prędkościach siła nośna była zbyt mała, aby unieść stosunkowo znaczny ciężar całego aparatu. Obecnie, kiedy dysponujemy silnikiem odrzutowym, kiedy zna-

konano także szczegółowe pomiary w tunelu aerodynamicznym na szybkości nadźwiękowej. Obecnie konstruktorzy opracowują rysunki warsztatowe prototypu.

Jak wynika z opublikowanych danych — na razie obliczeniowych — zakres prędkości pierścieniopląta wynosić będzie od 0 do 3 M* (1 M = prędkość dźwięku = 1.224 km/godz.), a pułap — 20 000 m!

Projektowane obecnie pierścieniopląty przewidziane są na trzy rodzaje zastosowania: szybka turystyka, przewóz pocztowy oraz obrona przeciwlotnicza.

Pierścieniopląty turystyczne pomyślane są na napęd turbosmigłowcy. Silnik — turbina spaliniowa — napędzać będzie dwa śmigła przeciwbieżne, umieszczone wewnątrz pierścienia nośnego. Silny strumień powietrza, wyrzucany przez śmigła z obrotów tworzących dyszę, pozwoli na pionowy start i pionowe lądowanie tego aparatu. Lot poziomy będzie możliwy dzięki sile nośnej, wytwarzanej przez pierścień nośny.

W ultraszybkich pierścienioplatach jako napęd przewiduje się potężne silniki odrzutowe typu turbino-odrutowego. Siła odrzutu tych silników ma służyć do wykonywania startu i lądowania. Podczas lotu poziomego siła ta zostanie spętowana działaniem silnika przepływowego, jaki stanowi pierścień nośny, do którego wnętrza pilot będzie mógł spowodować wtrysk paliwa. Ta zespolona moc

dwóch silników pozwoli osiągnąć olbrzymią prędkość, trzykrotnie większą od prędkości dźwięku, czyli około 3672 km/godz.!

Jeszcze, co prawda, pierścieniopląty nie latają, ale śmiałość koncepcji i stan badań nad możliwościami tego aparatu zapowiadają przewrót w lotnictwie. Przewrót podobny w swej istocie do tego, jaki nastąpił w prehistorii transportu — po zastosowaniu koła jeźdnego.

A. M.

* Litera M oznacza liczbę Macha, tj. stosunek prędkości samolotu do prędkości dźwięku. Jeżeli prędkość samolotu wynosi 1224 km/godz., mówimy, że samolot leci z prędkością 1 M.

Uniwersyteckie „Otrzęsiny” okiem studenta

Z dużym zadowoleniem powitać należy fakt powstania studenckiej Estrady Satyrycznej przy Uniwersytecie Poznańskim. Konieczność istnienia takiej placówki nie trzeba długo uzasadniać. Młodzież chyba najbardziej predestynowana do śmiechu i radości, powinna mieć miejsce, gdzie może wyśmiać i wyszydzić rozmaitych zawiadłości, przeszkadzających jej w rozwoju, zażartować z własnych śmiesznych błędów, zakpić z blurokratów i leniuchów.

Przyznam się, że siedząc z lekkim niepokojem, czy duża sala w Domu Akademickim przy al. Stalingradzkiej prymitywnie przystosowana do występów nie będzie świecić pustkami. Obawy okazały się puste. Wszystkie miejsca zajęte. Publiczność złożona nie tylko z młodzieży, ale również z ludzi mocno starszych, reagowała żywo — ma to już swoją wymowę.

Mimo tego należy stwierdzić, że program jest nierówny. Teksty trzech młodych adeptów pióra (St. Mroczkowski, R. Podlewski, J. Weronczak) zasadniczo tematycznie wiążą się ze sprawami studenckimi. Pomysł z reguły są dobre, czasami jednak zawiodły autorów umiejętności.

„Jubileusz Korporacji Alkoholii” jest zbyt długi, metoda „wszystkoizmu” za mało dowcipna. „Wytoczne” ośmielszające „aktywistów od spraw kultury z ZSP” — wymagałyby również pewnych skrótów.

Doskonały jest pomysł skeczu „W sprawie całusów”, lecz znów można mieć żal do reżysera za monotonię tej scenki — nieomal ze ciągłym całowaniem się młodej pary małżeńskiej na scenie — gubi zamierzony efekt. Posmak nadmiernej rozwlekłości ma też „Uniwersjada”, choć temat bardzo „dowcipny” (egzaminu u profesora).

Obok fars, których można się „czepać”, są również

doskonałe, nagradzane rzesistymi oklaskami „Marszowym krokiem”, „Opieka zdrowotna”, „Na wszystko jest rada”, „Po Poznaniu”.

Największym chyba uznaniem cieszyła się satyra na kaprański sposób śpiewania pieśni na studium wojskowym. Tekst i wykonanie może służyć jako wzór, co jak najbardziej chwyci publiczność za serce.

Mocnym punktem programu jest strona muzyczna, reprezentowana przez N. Dobrowolską — piosenkę, tercet wokalny J. Missolówną, A. Nowakówną, K. Piasickówną oraz trio rytmiczne w składzie J. Dabert, Z. Maciejewski i R. Klawitter. Dobrowolska ma przyjemny, miękki głos, co przy jej miłym wyglądzie, zgrabnej figurze i uroku młodości pozwala na dobre wywiązanie się ze swej roli. Dobrze brzmiał tercet wokalny śpiewający namiętnie zestrojonymi głosami. Widać na nim znaczny postęp od lutego 1953 roku. Tylko na skutek złej akustyki sali brzmiał on zbyt cicho.

Pełne uznanie należy się J. Dabertowi za opracowanie muzyczne i piosenki — melodyjne i bezpośrednie. Osobne zagadnienie to konferansjerka. Nie jest ona jeszcze „tym” w całym tego słowa znaczeniu, choć niektóre zapowiedzi są bardzo dobre (np. przed skeczem „W sprawie całusów”).

Całość reżyserował Jerzy Hoffman.

Patrząc na „Otrzęsiny” z zadowoleniem można stwierdzić, że są one udanym widowiskiem; dowcipne i wesołe, — zajmują i bawią nie tylko młodzież, ale i „brodatych obywateli miasta”. Należy sobie życzyć, aby Studencka Estrada Satyryczna „Złotodzieb” okazała się imprezą trwałą, nie kończącą swojego żywota wraz z opuszczeniem uczelni przez jej twórców.

Kwiatki

RESORT KULTURY

...nieco zasłużone

Przedstawienia operetkowe odbywają się w wielu miastach Polski z wyjątkiem Poznania.



— Co z tego, że poznaniacy chcą? Dyrekcja powiedziała, żeby obywatelki nie wpuszczać i basta!



Dekoracje wielu świetlic wołają o pomstę do nieba, a z drugiej strony fundusze na ten cel są niewykorzystywane.

— Dekoracji wprowadzić nie wykonał plastyk, ale za to dyrektor i księgowy dostali premię za oszczędność.



Krzesła w Komedi Muzycznej mają sławę najbardziej niewygodnych w Poznaniu.

„DOM NA TWARDO”



— Ty, popatrz, to musi być dobry film, bo już go zdejmują z ekranu...

Na gromadzkie tematy

Z fraszek, wygłoszonych na ostatnim spotkaniu dziennikarzy naszej redakcji z czytelnikami gromady Jerka, powiat Kościan.

O MŁODZIEŻY

Nie raduje się serce
Ni młodym, ni starym,
Ze tyle młodzi w Jerce,
Zamłast w świetlicy — przed barem.

TAJEMNICZA SPRAWA

(W związku z wypadkami „znikania” łańcuchów od rowerów, których sprawcy można by się doszukać wśród mieszkańców części Jerki — Biedaszkowa)
Postawiasz rower pod ścianę?
Ach, tego głupstwa nie rób,
Bo zaraz łańcuch ci zginie
Z twojego roweru.
I tylko kłopot potem
Z tą sprawą, moi ludkowie!
Bo będziesz go musiał szukać
Być może — w Biedaszkowie.

O PARKU

Park jerkowski dumą naszą,
Jest prawdziwym we wsi cackiem,
Szkoda tylko, że się pasą
Wszystkie kozy w nim gromadzkie.

O JUSKOWIAKU

(Ulubionym powiedzonkiem radnego Juskowiaka jest słowo „choroba”)
Jak się ma zdrowie poprawiać
w gromadzie wielu osobom,
Skoro nasz radny Juskowiak
Ciągłe za pan-brat z „chorobą”?

Anekdoty

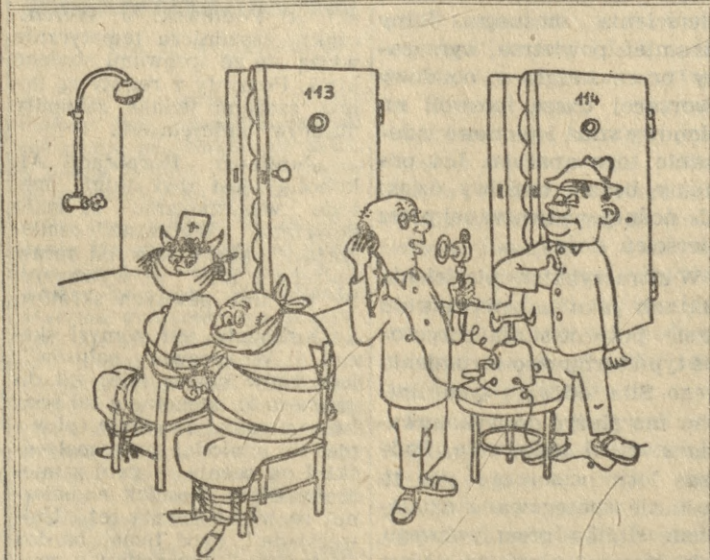
Przedstawienie poznańskie „Balladyna” przy współpracy literackiej prof. W. Kubackiego echowało wybitną dbałość o zachowanie języka Słowackiego. W jednej scenie Balladyna (grała ją Zofia Rysiówna) zwraca się do Gralona, przywołując jej zapieczetowaną szkatułkę od Korkora, ze słowami:
— Jakto? mnie żenie przysła podarki?

Po specjalnym przedstawieniu dla instruktorów teatrów amatorskich jeden z nich zwrócił się z dziękuję do prof. Kubackiego:
— Dlaczego artystka mówi, że nie, skoro przecież podarunek otrzymała?

Na przedstawieniu „Halki” w Operze poznańskiej bawila pewnego razu wycieczka z Podhala w regionalnych strojach góralskich. Podczas antraktu elegancko ubrana pani zwróciła się do jednego z uczestników wycieczki „gwarą” góralską:
— Jakże sie wom, gazdo, podobalo?

W odpowiedzi usłyszała:
— Przecież to Moniuszko, proszę pani! Każdemu Polakowi się podoba. A wykonanie — nadzwyczaj staranne.

JAN ESKI



— Nie, to nie zakład psychiatryczny, pan się pomylił. Mówi tajny kamerdyner cesarza Napoleona!

Przedział specjalny

Wszyscy narzekają na nieuprzejmość naszej młodzieży, a tymczasem wcale nie jest tak źle. Przekonałam się o tym podczas ostatniej podróży do Leszna. Ponieważ musiałam zabrać z sobą dziecko, konduktor wyprosił mnie z przedziału, w którym miałam miejsce siedzące. Powiedział, że to przedział dla pałających, a przepisy mówią, że dym szkodzi dziecku i pokazał mi drogę do przedziału specjalnego: „Dla matki z dzieckiem”. Przedział ten zajęty był przez grupę pełnych życia młodzieńców. Pierwszy z nich powiesił sobie urzędową tabliczkę z napisem o przeznaczeniu przedziału na szyl i tłumaczył, że jedzie służbowo. Chuligani podobno niszczą te tabliczki. On jest więc po to, by dopilnować porządku. Pozostali byli również grzeczni i rozmowni. Jeden widząc, że jestem z dzieckiem na ręku, powiedział: — Pani pewno bardzo niewygodnie stać z tym dzieckiem? — Nie zaprzeczyłam,

więc poradziłam uprzejmie: — Niech się pani oprze o drzwi. Pozostali wyraźnie ucieszyli się z tej rady. Na którejś stacji ten, który miał na szyi tabliczkę, zdjął ją i powiedział, że tutaj wysiada. Na jego miejsce usiadł inny, a tabliczkę oddał mi, tłumacząc, że w moim interesie leży dopilnowanie porządku. Mam się starać, by nikt nie wsiadł do tego przedziału, gdyż mogą wsiadnąć ludzie nieuprzejmi. Aby temu zapobiec, wystarczy wskazać pasażerom tabliczkę i nikt nie wsiądzie. Podziękowałam mu i zajęłam miejsce w drzwiach. W pewnej chwili jednak dziecko zapłakało, bo było głodne. Wtedy ci panowie spytali taktownie, czy nie krępuje się przypadkiem karmić dziecko w ich obecności, bo jeśli chodzi o nich, to się nie krępuje, gdyż sami w młodości byli karmieni piersią. Nie wiedziałam, co wypada zrobić, ale jeden poradził mi, hym, jeśli się krępuje, posła do ubikacji i tam nakarmiła dziecko swobodnie. Oceniałam jego życzliwość posłaniem z dzieckiem do ubikacji. Zabrałam z sobą tabliczkę, którą powiesiłam na drzwiach toalety. Miałam już odtąd spokój do końca podróży, nikt mi nie przeszkadzał. Przekonałam się wtedy, że pasażerowie szanują przepisy i napis: „Przedział dla matki z dzieckiem” — odnosi skutek.

RYSZARD PODLEWSKI

Od własnego korespondenta z Berlina...



...Assaga czuł duży respekt przed dyszlem Piórkowskiego...



...przeciwnik Drogosza pływał po ringu...



...Stefaniuk wypunktował Radanowa...

To i owo

O miłości

Profesor Kinsey, zbierając materiały do pracy naukowej o problemach seksualnych amerykańskiego społeczeństwa, spytał żonę jednego z prawników, co myśli o miłości.

— Miłość? Nie wiem wcale, co to znaczy? — rzekła dama.

— Jak to? — zdziwił się profesor. — Jest pani już kilka lat po ślubie!

— Racja. Ale dotąd nie zdradziłam swego męża ani razu...

Na wszelki przypadek

Na drzwiach wejściowych monachijskiego lokalu „Resi”, słynącego w Monachium z dobrej kuchni i wygody, widnieje karta z napisem: „Wprowadzanie psów surowo zabronione”. Na każdym stoliku widnieje ustawiony dodatkowo napis tej treści: „Psom, które mimo zakazu wprowadzono do lokalu, nie wolno przebywać na kanapkach”.

Klasyczne

Angielskie czasopismo „Women's Only” rozpisło wśród swych czytelników ankietę na temat: „Kiedy książka jest dziełem klasycznym?”. Najlepszą, nagrodzona odpowiedź brzmiała: „Książka jest dziełem klasycznym wówczas, kiedy ludzie, którzy jej nigdy nie mieli w ręku, twierdzą, że ją dawno czytali”. Nagrodą była również książka. Jej tytuł: „Wprowadzenie w literaturę klasyczną”.

(b)

POCZTA „NOWEGO ŚWIATA”

Witalis Błaszowski, Poznań. Wiersz, jak poprzedni — nie do druku.

Józef Konieczny, Poznań. — Prosimy w dniu 6 bm. zgłosić się po odbiór honorarium do kasy RSW Prasa, Grunwaldzka 19, parter.

Bruno Brożyniak. — „Przed kanikula” i „Na leniwego ucznia” — nie przeszyły. Inne fraszki zatrzymujemy.

Esbe. — Niech Pan próbuje nie zapominać o poście. Fraszka bez pointy (dowcipu), to jak motocykl bez benzyny. Nie zaskakuje.

Z baśni chińskich

Punkt widzenia



Na nosie olbrzymiej ryżowej krowy z dostojnością rozsiedla się pchła.

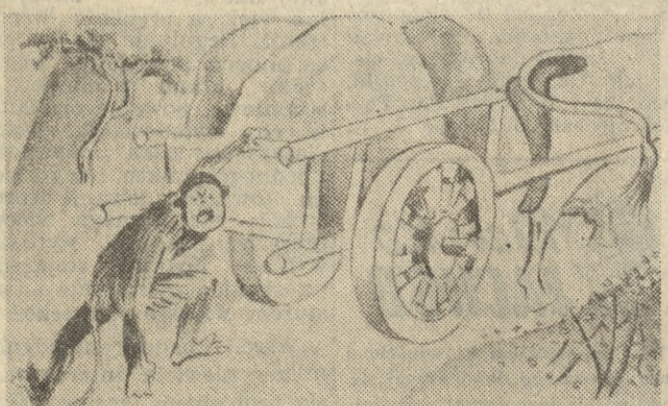
— Jestem przekonana, że na świecie nie ma większej istoty od pchły!

— Dziecię ukochane, a czy nie mogłabyś powiedzieć, na czym w tej chwili siedzisz? — bzyknął ironicznie przelatujący mimo komar.

— Co za głupie pytanie! — obruszyła się pchła. — To przecież zupełnie jasne: olbrzymia góra.

Zdarzają się podobne wypadki również wśród ludzi. Im mniejszy punkt widzenia, tym większe mniemanie o sobie.

Niezadowolona małpa



Wół ciągnął pod górę wóz, a małpa popychała go z tyłu. Wóz był naladowany, droga ciężka i wkrótce znudzona małpa zaczęła narzekać:

— Oczyszczenie, w uprząży łatwiej! Ale ty, małpo, cierp i popychaj. Nikt się o ciebie nie zatroszczy.

— Nie podoba się? Możemy się zamienić — zaproponował dobroduszny wół.

Teraz wóz ciągnęła małpa, a wół popychał. Lecz po chwili małpa znowu zaczęła:

— Przy takiej pracy i na żelaznych rękach będą odciśki. A na dodatek żadnych perspektyw... ciągnij i ciągnij...

— I ciągnąć nie chcesz? — zdziwił się wół. — No to włącz na wóz, a ja sam powiozę.

Małpa momentalnie wgramoliła się na wóz, wół zabrał wszystkie siły i wóz ruszył. Lecz i teraz małpa nie mogła znaleźć dla siebie miejsca.

— Po co ja tu siedzę? Kiedy ciagniesz czy popychasz wóz, zawsze możesz czegośkolwiek się nauczyć. A tak siedz jak idiotka na wystawie. Ani w tym sensu, ani pożytku.

— No, wiesz? — zdenerwował się wół. — I to też ci się nie podoba? W takim razie zbieraj manatki i wracaj do domu!

To już ostatecznie wyprowadziło małpę z równowagi.

— Jak ty śmiesz! To jest biurokratyczne podejście! Nie tylko, że nie interesujesz się moimi potrzebami, to nawet nie chcesz mnie wysłuchać!

Rozejrzyj się wśród ludzi. Jeżeli nie dostrzeżesz podobnej sytuacji, powiem, że masz oczy nie wiadomo po co.

Z rosyjskiego przełożył JAN ESKI



Jak to przyjemnie wejść do nowego mieszkania... Rys. Bazenow